

Dyskoteki jeszcze nie istniały. Ich swoistą namiastką były sobotnie wieczorki taneczne urządzone w znajdujących się na parterze domów studenckich obszernych hallach wejściowych, określane popularnie mianem „holówek”.

Najczęściej „holówki” odbywały się w żeńskim bloku „B”, a dodatkową w tym wypadku atrakcją stanowił fakt, że w tanecznym zamęcie łatwiej było studentom przeniknąć przez kordony akademikowych cerberów stojących na straży moralności i dostać się na wyższe piętra, do sanktuarium kobiecości szumiącej tanim, błyszczącym jedwabiem kwiecistych szlafroczków.

Na klatkach schodowych, na półpiętrach i tak zwanych pokojach cichej nauki pełno było w taki wieczór czule obejmujących się parów. A tymczasem w „halu tanecznym” na parterze, w zgęstniałym jak kamień powietrzu, w tłoku i w ścisku, dwie przeciwne płci przywarte do siebie jak najciaśniej, udawały, że tańczą. „Puszczana” z pobliskiego akademickiego radiowęzła muzyka z płyt (najczęściej: namiętne tanga lub rzewne, posuwiste slow-foxy), dodatkowo temu sprzyjała. Kiedy powstały na lubelskich uczelniach pierwsze jazzowe zespoły muzyczne, preferując dixieland, atmosfera „holówek” nabrała bardziej autentycznie tanecznego charakteru.

Ale to było później. Na razie, pod koniec pierwszej połowy lat pięćdziesiątych, istniały na uczelniach tylko nieliczne i często – efemeryczne grupki muzykujących studentów. Do takich należał zespół działający przy Akademii Medycznej. Składał się, bodajże, z czterech osób: harmonisty, gitarzysty, perkusisty i kontrabasisty. Występowali na zabawach oraz na uczelnianych akademiach. Dobrze pamiętam, że w ich repertuarze znajdowały się m.in. utwory radzieckich kompozytorów: „Samotna harmonia” oraz – „Ech, ta droga”, cieszące się zresztą, w owych czasach dużą popularnością.

Trzon zespołu stanowiła nierozłączna para; dwaj medycy z tego samego roku studiów: gitarzysta Zdzisław Matuszewicz i kontrabasista Jan Wolski. Ten drugi – dość krupulentny, o okrągłej twarzy i ciemnych, gładko przyczesanych „z przedziałkiem włosach, miał usposobienie flegmatyczne. Ten pierwszy – drobny, szczupły, pełen rozsadzającego go temperamentu blondyn o trochę rozwichrzonej czuprynie – porywał słuchaczy piosenkami, które śpiewał przy akompaniamencie gitary. Szczególnie – tymi, jakie Zdzisław Matuszewicz prezentował podczas mniej „formalnych” spotkań; w gronie przyjaciół. A repertuar miał bogaty i jędrny; ze szczególnym uwzględnieniem „błahych” odeskich szlagierów z repertuaru babłowskiego Beni Krzyka i jego ferajny.

Po utworzeniu przez Romana Trawińskiego jazzowego Zespołu Akademii Medycznej, Matuszewicz i Wolski znaleźli się w jego składzie. A po skończeniu studiów, wciąż w duecie, rozpoczęli pracę w pogotowiu ratunkowym w Bełżcach.

*

Wyższą od „holówek” formą studenckiego „życia rozrywkowego” były urządzone (najczęściej: z okazji rozpoczęcia roku akademickiego oraz podczas karnawału) zabawy taneczne. Poza (wspomnianą wyżej) niezawodną stołówką akademicką przy ul. Sowińskiego, odbywały się one najczęściej w wielkiej sali na drugim piętrze Liceum im. Staszica przy Alejach Racławickich, pełniące w tamtych latach funkcję

głównej auli UMCS. Odbywały się także zabawy taneczne w „Agro”, czyli w gmachu Collegium Agrobiologicum przy ul. Króla Leszczyńskiego, najelegantsze, nazywane też szumnie balami prawników - „u Marchlewskiego”, czyli w sali im. J. Marchlewskiego na pierwszym piętrze gmachu Collegium Iuridicum przy placu Litewskim.

Grały na tych zabawach albo zespoły studenckie, albo wynajęci „profesjonałści” spod znaku balu w strażackiej remizie. W bufecie można było kupić kanapki z kiełbasą, plasterkiem ugotowanego na twardo jajka i kawałkiem kiszzonego ogórka, oraz lemoniadę.

Jeśli chodzi o napoje „wyskokowe” (jak wówczas elegancko nazywano), to obowiązywała na studenckich zabawach bezwzględna prohibicja. Co nie przeszkadzało oczywiście, że około godziny jedenastej wieczorem znaczna część męskich uczestników zabawy znajdowała się na dużym gazie. Nie było mowy o jakimś pokątnym sprzedawaniu wódki w bufecie. Po prostu - zabawowicze przemycali alkohol pod marynarką, umieszczając butelkę przemysłnie pod pachą lub w nogawce spodni. Pito najczęściej wino „Tur” albo „Gryf”, piekielne, wzmacniane przez producenta spirytusem trunki mające do 26 procent alkoholu. Tyleż zresztą wynosiła cena za butelkę owego gęstawego, ciemnoczerwonego specjału: dwadzieścia sześć złotych.

Dopiero czasy rock-and-rola przyniosły „rozluźnienie obyczajów”, jeśli chodzi o strój; kiedy to wkroczyły na parkiety wąskie spodnie i obcisłe spodenki, szumiące nylonowymi koronkami i falbanami obfite halki, wirujące w tańcu, ściągnięte szerokim czarnym pasem w talii spódnice, oraz lekkie pantofelki - baleriny. Przedtem, by nikt nie został wpuszczony na salę bez choćby najnędnieszego, ale - ciemnego garnituru, białej koszuli i krawata; żadna dziewczyna nie pomyślałaby nawet by pojawić się na zabawie w swojej „codziennej” sukience.

Kto miał wyższe aspiracje zabawowe oraz trochę grosza w kieszeni, ten „bywał” na cosobotnich zabawach tanecznych w „LPBP”, czyli w sali lubelskiej „Przemysłówki”, gdzie grała orkiestra taneczna Tadeusz Kursy i gdzie śpiewała popularna w Lublinie refrenistka Adela Rossowiecka, gorąco zawsze oklaskiwana za swój przebojowy numer: „Głęboką studzienkę”.

W „LPBP” panowała „wytworna” atmosfera, było mało pijanych; a to głównie dzięki sprawnie działającej, społecznej służbie porządkowej, która bezceremonialnie wyrzucała „niegodnie” zachowujących się gości za drzwi.

Choć i tam, pewnego razu służby porządkowe okazały się bezsilne. A to, w ów pamiętny wieczór, gdy rozochocony tańcem i alkoholem tłum rzucił się w przerwie ku estradzie i zawładnąwszy pozostawionymi tam przez muzyków instrumentami, dał swój własny... popis muzyczny, jako żywo przypominający niektóre sceny z radzieckiego filmu „Świat się śmieje”...

*

Szczytem elegancji, na jaki tylko nieliczni studenci mogli sobie pozwolić, było wybranie się z partnerką na dancino do kawiarni „Lublinianka przy Krakowskim Przedmieściu.

Grał tam, na znajdującej się nad wejściem antresoli, bardzo dobry zespół pod

kierownictwem Tadeusza Múncha, lansujący bardziej „zachodnie” rytmy i melodie. Bardzo niechętnie patrzono na uczelni i w gronie działaczy organizacji młodzieżowych na takie studenckie wyskoki do „Lublinianki” lub, uchwaj Boże!, do sąsiadującej z nią (również z dancinżiem) restauracji „Powszechna”. „Kolega X na dancinżach tańcuje i kotlety nam zjada, zamiast o nauce myśleć!” – grzmiął potem na zetempowskiem zebraniu jeden z bardziej znanych uczelnianych działaczy. Tolerowano natomiast fakt odwiedzania przez studentów kawiarni „Regionalna”. Gdzie można było: „Zażyć godziwej rozrywki kulturalnej”, słuchając przy „małej czarnej” (cena; dwa i pół złotego) covieczornego koncertu dawanego przez trzech starszych panów, filharmoników: pianistę, skrzypka i wiolonczelistę. W 1957 r. studenci pokusili się o otwarcie własnej kawiarni, w trzykondygnacyjnych piwnicach na starym Mieście...

W kabarecie występowaliśmy w czarnych, luźnych swetrach i wąskich spodniach z ciemnoczerwonego sztruksu. Dekorację stanowiła sama niezwykła, niepowtarzalna architektura „Piwnicy”. Podczas programu – za oświetlenie służyły tylko płomyki świec. Stwarzało to jakiś tajemniczy, mistyczny nastrój.

Po wstępnej przygrywce Andrzeja Żmigrodzkiego na rozklekotanym, piwnicznym pianinie, szedł najpierw wiersz Jerzego Harasymowicza „Koty”, który był jakby swoistym „hymnem” kabaretu, rozpoczynającym wszystkie jego kolejne programy. Później (w pierwszym programie) Ewa Jaroszyńska czytała wiersze Białoszewskiego z niedawno wydanego pierwszego zbiorku poety – „Obroty rzeczy”. „Fuńka” Jaroszyńska, szczupła, drobna, o wąskiej, ascetycznej twarzy, wielkich oczach i prostych, długich włosach uczesanych „na Monę Lisę” – jeszcze uczennica klasy maturalnej – wspaniale interpretowała „Karuzelę z Madonnami”.

Dalej szły teksty Gombrowicza – (m.in. „Filidor dzieckiem podszyty”); przywieziony z krakowskiej „Piwnicy” przez młodego scenografa Krzysztofa Załka „Sprośny kacerz Symeon”; jakieś mniej znane utwory Gałczyńskiego; kilka „tekstów własnych”, napisanych przez samych członków kabaretu, m.in. mini – proza „Sny kolorowe” Majki Zamojskiej.

Część mniej „poważną” programu wypełniały zabawne wierszyki A. A. Milne’a, parodia kankana w wykonaniu Zbyszka Domarańczyka oraz niżej podpisanego, kończąca się złośliwym zdaniem rzuconym „w twarz” publiczności „Chcieliśta kumedyji, mata kumedyję...!” – Płynęły też w kierunku widowni mocne, nieparlamentarne wyrazy, co miało podkreślać naszą kontestację przeciwko „burżuazyjnej” moralności oraz zastanemu establishmentowi. Trzeba przyznać, że przyjmowano owe „piguly” z masochistyczną przyjemnością.

Cały osobny rozdział programów „Sex” stanowiła aktualna satyra, która „brała na warsztat” miejscowe środowisko kulturalne. Autorem złośliwych wierszyków, fraszek oraz tak zwanych „ogłoszeń parafialnych” był Iwo Wojciechowski; jedyny, notabene, w kabarecie posiadacz brody.

*

Kabaret kabaretem, kontestacja kontestacją, ale wszechogarniająca kontestacja działała bez zarzutu. Nie można było wystartować z przedstawieniami bez zatwierdzenia tekstów przez miejscową „cenzurę”.

Była ona w tamtym czasie zupełnie liberalna, jeżeli chodzi o dzieła opublikowane. Problemy zaczynały się wówczas, gdy cenzor „nadział się” na tekst dotąd nie drukowany. Cóż było robić: opatrzyliśmy maszynopis „Snów kolorowych” Majki Zamojskiej informacją: J. Zalewski „ Kadzidło w mroku”. Zbiorek prozy poetyckiej. Zaś przy „Sprośnym kacerzu Symeonie” napisaliśmy: Autor St. I. Witkiewicz. „Dzieła wybrane”, t. 1. I... Sprawa przeszła jak po maśle.

Trochę się krzywiono nad „Embrionem” Bruno Jasielskiego, ze zbiorku „But w butonierce” (choć był to wszak „autentyk”), ale cenzor Jan Wielkopolski załamał się pod presją argumentacji, że wszak Jasiński był, zarazem, autorem poematu „Słowo o Jakubie Szeli”.

*

Jednym z „gwoździ” pierwszego programu „Sex” był strip-tease. Wykonywała go nasza uduchowiona gwiazda, „Fuńka” Jaroszyńska.

W takt muzyki o coraz bardziej nasilającej się ekspresji, paradowała ona – coraz mniej ubrana – przed publicznością, wyrzucając zza kulis, (za którą co jakiś czas znikwała) kolejne części garderoby. Wreszcie, zza wysokiej drewnianej planszy z napisem: „Sex”, wylatywały szerokim łukiem – stanik i figi. Andrzej Żmigrodzki przechodził w jakiś niesamowity cyrkowy „tusz” na klawiaturze... Nagle, muzyka się urywała. I... w zgęstniałej, napiętej ciszy, wybiegał zza kulis młody człowiek w samych tylko kalesonach, i z płonąca świecą w ręku, wołając figlarnie: „A, kuku!”

Dowcip nie był najwyższych lotów. Ale... zawsze się doskonale sprawdzał, wywołując ryk radości nawet wśród najpoważniejszych profesorów uniwersytetu. Po kilkunastu przedstawieniach przystąpiliśmy do przygotowania kolejnego programu. Jego premiera odbyła się 18 lub 19 czerwca 1957r., tuż przed wakacjami.

Drugi program „Sex” był już bardziej wypełniony tekstami młodych, lubelskich twórców, którzy dołączyli do orbity kabaretu. Znalazły się tu przede wszystkim teksty Andrzeja Tchórzowskiego. (Niektóre z nich czytał na estradzie „Sex” sam autor) i mini – opowiadania Tytusa Dzieduszyckiego, świeżo upieczonego absolwenta wydziału biologii UMCS (pisał pracę magisterską na temat bobrów) a zarazem plastyka, członek grupy „Zamek”

Tytus stał się pełnoprawnym członkiem zespołu „Sex”. Wykonywał tu m.in. swój własny tekst: „Amputowany”. Natomiast Olek Grabusiewicz zbierał oklaski za interpretację „Monologu onanisty”.

Niestety zabrakło w drugim programie Ewy Jaroszyńskiej. Kilka dni przed premierą, po zdaniu matury w Liceum Sztuk Plastycznych, wyjechała do rodzinnej Warszawy. Nie zawsze miał także czas, zaliczający sesję egzaminacyjną Andrzej Żmigrodzki. Podczas niektórych przedstawień zastępował go więc młody jazzman, jeszcze licealista, Witold Miszczak; bardzo zresztą dumny, że gra w „Sexie”.

„Wito” Miszczak musiał, niestety, „wyliczać się” przed rodzicami z wieczornych nieobecności w domu. Trzeba więc mu było każdorazowo wystawiać specjalne zaświadczenia: „Stwierdzamy, że kol. Witold Miszczak brał dzisiaj wieczoru udział w przedstawieniu kabaretu „Sex”, które zakończyło się ok. godz. 10 wieczorem. Podpisani – kierownictwo kabaretu”.

*

Wkrótce po premierze, na jednym z przedstawień drugiego programu „Sex” pojawił się Marian Brandys przygotowujący wielki reportaż o Lublinie. Kilka tygodni później w numerze „Nowej Kultury” z 14 lipca 1957 r., ukazał się jego artykuł zatytułowany „Diabelskie piętno”. Znany reportażysta i literat rozpoczął go słowami:

„A więc i stary Lublin ma swój studencki kabaret literacki. W piwnicach historycznej kamieniczki w Rynku, o krok od wyniosłej strony kościoła Dominikanów, studenteria lubelska zmajstrowała sobie teatrzyk mogący śmiało konkurować z osławioną piwnicą krakowską. Oto jeden z numerów. Na półciemnej scenie czarno ubrany

chłopiec, trzymający w rękach dwie świece. Sylabizuje tekst z elementarza: „A-la ma ko-ta, A-la ma psa, A-la ma ka-nar-ka...”. Stopniowo sylabizowanie rośnie w niepokojący, groźny lament (...).”

Ten „czarno ubrany chłopiec” nazywał się Mirosław Derecki, a tekst opierał się na jego pomysśle autorskim. Scenka ta została zarejestrowana, notabene, na taśmie filmowej, przez kręcących reportaż ze studenckiej „Piwnicy” członków lubelskiego klubu filmowego „Zamek”. Nie wiadomo tylko dlaczego reżyser, Zygmunt Mańkowski, kazał mi wówczas (może dla „lepszego efektu”?) włożyć zapinaną na kołki „budrysówkę”, zarzucić na głowę kaptur, i majestatycznie kreślić dłonią w powietrzu znak krzyża. Jakby w niemym wołaniu: „Apage satanas!”.